

## Zenon Kasprzak



Zenon Kasprzak

### **Emerytowany polonista w II LO im. Wł. Broniewskiego.**

- Kiedy kończyła się wojna, mieszkałem 8 kilometrów od Gniezna, w Niechanowie. Była to miejscowość stara i pełna zabytków. Mój starszy, 19-letni brat, przyjechał do Koszalina pierwszym transportem z Gniezna w maju 1945 roku. W czerwcu dotarł tu również mój ojciec z drugim synem i przyszłą synową. Sprowadziliśmy się tu z własnej woli, motywowani potrzebą służby, chcieliśmy zagospodarować te tereny i przywrócić miasto Polsce.

Pomimo że miałem wtedy zaledwie 5 lat, to pamiętam doskonale, że moi bliscy podróżowali na Pomorze z całym dobytkiem, ze sprzętem gospodarczym, z zapasami żywności i z wyposażeniem rymarsko-tapicerskiego zakładu ojca. On i wielu innych wzięli na swoje barki rozwój koszalińskiego rzemiosła. Prywatne zakłady rosły wtedy, jak grzyby po deszczu, i zanim się człowiek obejrzał, zaczęły funkcjonować piekarnie, sklepy spożywcze, drogerie, cukiernie i restauracje. Swoje usługi oferowali szewcy, krawcy, ślusarze i rzeźnicy.

Ja przyjechałem do Koszalina jesienią 1945 roku. Zapamiętałem z tego czasu, że całe życie handlowe, usługowe i towarzyskie toczyło się w ocalałych domach śródmieścia, głównie przy ulicach: Zwycięstwa, 1 Maja, Bieruta i Gnieźnieńskiej. Na ulicach panował ciągły ruch, harmider, jeździły konne wozy, rzadko samochody. Każdy przedsiębiorca pragnął, by jego interes miał siedzibę w ścisłym centrum, ale to było bardzo trudne, bo to było jedno, wielkie gruzowisko.

Początkowo moja rodzina zajmowała mieszkanie przy ulicy Bieruta 3 (obecnie to ulica Połczyńska). Budynek stał naprzeciwko obecnego I Liceum imienia Stanisława Dubois, ale wówczas nie było tam szkoły, tylko radziecki szpital, w którym pracowały Niemki. Znałem je, ponieważ przyjaźniłem się z ich dziećmi. W powojennym Koszalinie mieszkało wciąż wielu obywateli niemieckich, ale byli to głównie staruszkowie i matki z dziećmi. Byli bardzo niespokojni i przerażeni sytuacją. Nie było za to dorosłych, młodych Niemców. Do końca życia będę pamiętał obraz leżących w jednym z mieszkań zwłok niemieckiego starca, którego po śmierci nie miał kto pochować.

Jako dziecko z zafascynowaniem obserwowałem, jak rozwożono do sklepów rozmaite produkty i towary. Wszystko trzeba było przenosić w rękach bądź na plecach. W okolice domów podjeżdżali też furmani zaopatrujący koszalinian w węgiel, który po prostu w nieładzie rzucali na chodniki. I wtedy całe rodziny wylegały przed dom i wnosiły węgiel do piwnic i składzików.

W roku 1947 przeprowadziliśmy się do jednopiętrowego domu przy ulicy 1 Maja i tam ojciec prowadził zakład rymarskotapicerski. Z okien widziałem same gruzowiska ciągnące się aż do ulicy Słowackiego (tam gdzie mieści się Komenda Policji). Ulice w śródmieściu były wąskie i brukowane, w niczym nie przypominały tych dzisiejszych, wielkomiejskich.

Co ważne, ludzie tworzący w mieście nową rzeczywistość, byli niezwykle otwarci i radośni. Każdy cieszył się życiem i był zadowolony z tego, że ma co do garnka włożyć, że miasto powoli zmienia wygląd, że przybywa oświetlenia i tak dalej. Koszalinianie spotykali się towarzysko, odwiedzali jedni drugich, spędzali razem wolny czas. Z perspektywy lat, można powiedzieć że znakiem tamtych czasów był zupełny brak malkontenctwa.

W Koszalinie mieszkam do dziś. Przez lata byłem nauczycielem języka polskiego w II LO imienia Władysława Broniewskiego i ten etap mojego życia bardzo dobrze wspominam. Pomimo, że jestem na emeryturze to wciąż spotykam się z wyrazami szacunku i pamięci ze strony swoich byłych uczniów.

---

**Adres źródłowy:** <https://www.koszalin.pl/pl/content/zenon-kasprzak>